

Felieton

Władysław Loranc

Z górą ćwierć wieku temu na posiedzeniu Rady Ministrów jeden z kolegów, referując główne tezy przygotowanego projektu nowej strategii gospodarczej, zakończył swój głos efektowną puentą: „Istotę naszej polityki powinna wyrazić idea - co nie jest prawnie zakazane, jest dozwolone”. W dyskusji wypowiedziałem się krytycznie, nie dlatego bym wyżej stawiał administrowanie gospodarką w miejsce polityki gospodarczej, reagującej na zmiany narzędzi pracy, zasobów surowcowych i struktur zawodowych. Wątpiłem w sens dyrektywy, bo sprzyjała złudzeniom, że politykę gospodarczą można wypreparować ze związków i zależności, od których zależy wydajność pracy oraz podział wytworzonych dóbr, że wystarczy postawić, płot by zniknęło zjawisko kradzieży.

Na progu trzeciej dekady transformacji już gołym okiem widać podział Polski na dwie oddalające się od siebie części. Sceną polityczną zawładnęli liberałowie proveniencji nacjonalistycznej albo kosmopolitycznej, a w kulisach sceny kulą się zwolennicy siemieżnego socjalizmu. Nie ma na niej, a w każdym razie nie mają znaczenia ci, co mówią, że są zwolennikami demokracji. Demokratycznej Polski póki co nie ma. Chór dziennikarzy sławi jej substytut, którym jest wolność słowa. Niestety jej podstawą jest respektowana, chociaż niepisana reguła, którą narzucili nam politycy: „Wy mówicie co chcecie, my robimy co chcemy”! Ale nie z tego powodu wracam do sporów wokół roli etyki.

W grudniu ub. roku „Gazeta Wyborcza” opublikowała wywiad, jakiego malarz i intelektualista Jerzy Nowosielski udzielił T. Podgórcowi. Przestrzegając przed ortodoksją i fundamentalistycznym myśleniem zauważył, że „schodzimy do poziomu moralistyki, która robi więcej szkody niż dobra”. Podzielał sceptycyzm wobec moralistyki, bo ci, co ją uprawiają zawsze wiedzą, co powinni robić wszyscy inni, aby komfort istnienia moralisty nie został naruszony.

Główną ideę swej filozofii wypowiada J. Nowosielski w błyskotliwie sformułowanym paradoksie. Pisze: „Wielkość człowieka tkwi przede wszystkim w tym, że może grzeszyć”. Ta myśl ma urodę aforyzmu, ale sens frazesu. Nie w tym tkwi wielkość człowieka, że wybiera między grzechem a rezygnacją z niego. Sądzę, że polega ona na tym, iż nasze zachowanie wzmacnia lub osłabia poczucie bezpieczeństwa ludzi. Może wzmacniać ład, dzięki któremu świat bywa ludzki i przyjazny. Bycie człowiekiem społecliwym to warunek, by życie zachowało swój sens. Człowiek zmienia swoją skalę nie tylko wtedy, gdy powstrzymuje się od grzechu, lecz wtedy, gdy swą pracą, aktem twórczego wysiłku, potwierdza swoją wrażliwość na prawa człowieka. Rację miał znany reżyser, gdy powiedział: „Wspólna praca jest zawsze pojednaniem z drugim człowiekiem”. Gdy narusza się tę zasadę, niech nikt nie liczy na mądre prawodawstwo i na trwałość reform.

Drugi powód do nawiązania sporu o etykę i prawo, ma nieco inną naturę. Jest bliższy obyczajom społecznym czego się nie robi dlatego, że nie wypada, a nie dlatego, że prawo zakazuje. Zupełnie obcy intelektualnie i moralnie są dla mnie zwolennicy zasady, że prywatne życie nawet twórców tak wybitnych jak Tuwim, Iwaszkiewicz, Miłosz, Kapuściński jest ciekawsze i poznawczo bardziej płodne niż ich doskonałe dzieła. Mnożą się, jak ptasia grypa, zwolennicy „śledczej biografistyki”, bliźniacy dziennikarzy śledczych. Tematem przestaje być utwór literacki, dzieło sztuki, czyli projekcja ludzkiego losu a staje się nim demaskatorska biografia.

Rozdęte egoizmem „ja” biografa, który oczywiście zawsze w imię prawdy, pozbawia twórcę szczególnej wartości jego dzieła. Neguje talent wnikania w sens życia. Biograf śledczy sugeruje

czytelnikom, że prawda tkwi nie w doskonałości dzieła, lecz w zagadkach życiorysu twórcy. Ona jest odkrywczą, prawdziwą, a przede wszystkim wzorotwórczą. Dla mnie donos śledczego biografa jest tylko ciemnością po zakrywanym źródle światła. Porównam ją do plam słonecznych, na które „odkrywcy” powołują się jako na dowód, że Słońce ma wady, że można by się bez niego obejść.

Z tym zaciemnianiem światła przeżywamy swoistą epidemię. Lęgną się, jak szarańcza, opętani żądzą sławy herostratesi. Architekt, który nie buduje, ot taki warszawski Herostrates, wzywa do zburzenia Pałacu Kultury i Nauki, zamierzając z tego czynu stworzyć dzieło swego życia. Proponuje to ludziom, którzy przeżyli śmierć miasta. Autor „nowej polityki historycznej” powiada, że przez pół wieku po prostu nie było nas w Europie. Dziennikarzyna konspiruje brak talentu, przekonując, że ma odwagę. Gdy się słucha tych Herostratesów zaczynamy podziwiać trafność porzekadła: „Kogo Bóg chce pokarać, temu odbiera rozum”.

Jest jednak realny problem, jak się bronić przed tymi, co pomylili wolność i zawiść. Odpowiedź znalazłem w świetnej książce prof. A. Krawczuka „Julian Apostata”. Przytacza w niej opis sądowej rozprawy, w której ostry oskarżyciel Delfidiusz oskarżał przed cesarzem Julianem byłego namiestnika Galii o nadużycia. Ten broniąc się wszystkiemu zaprzeczał. Oskarżyciel zwrócił się do Cesarza: „To kogóż najświetniejszy Cesarzu będzie można uznać za winnego, jeśli wystarczy, że oskarżony zaprzeczy wszystkiemu”? Odpowiedź cesarza Juliana była genialna: „A kogóż będzie można uznać za niewinnego, jeśli wystarczy tylko oskarżenie”? Tę myśl mądrego prawodawcy powtórzmy dziś dziennikarzom śledczym oraz ich bliźniakom, lustratorom biografii, także własnych ojców. A przede wszystkim zapytajmy o zdanie „żoliborską elitę”, która zachęca herostratesów do ataku, oczywiście nigdy dla żądzy sławy, zawsze w obronie wartości, najlepiej chrześcijańskich.

Władysław Loranc, dr nauk humanistycznych, politolog, publicysta